

*Podróże*  
pana  
**Kleksa**

Jan Brzechwa

*Podróże*  
pana  
**Kleksa**



Wydawnictwo Skrzat  
Kraków

## Bajdocja

Działo się to w czasach, kiedy atrament był jeszcze zupełnie, ale to zupełnie biały, natomiast kreda była czarna. Tak, tak, moi drodzy, kreda była jeszcze wtedy kompletnie czarna. Łatwo sobie wyobrazić, ile z tego powodu wynikało kłopotów i nieporozumień. Pisało się białym atramentem na białym papierze i czarną kredą na czarnej tablicy. Tak, tak, moi drodzy, sami chyba rozumiecie, że napisane w ten sposób litery były całkiem, ale to całkiem niewidoczne. Gdy uczeń pisał wypracowanie, nauczyciel nigdy nie wiedział, czy kartki są zapisane, czy też niezapisane. Uczniowie wypisywali przeróżne głupstwa na papierze lub na tablicy, ale nikt nie mógł tego sprawdzić ani nawet zauważyć. Listy pisane w ten sposób

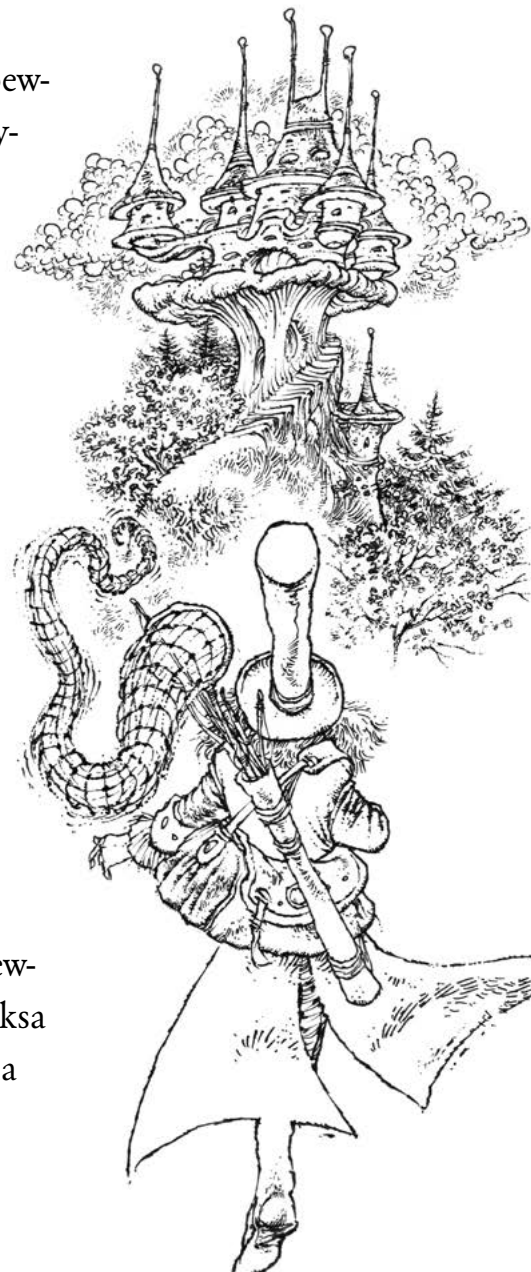
były zupełnie nieczytelne, toteż mało kto pisywał je w tych czasach. Urzędnicy w biurach zapelniali pismem ogromne księgi, ale na próżno ktokolwiek usiłowałby odnaleźć w nich ślady liter lub cyfr. Po prostu były niewidoczne. I gdyby nie to, że istnieje w biurach z dawna zakorzeniony zwyczaj prowadzenia ksiąg, na pewno zaniechano by tej żmudnej i niepotrzebnej pracy.

Ludzie podpisywali się na rozmaitych papierach i dokumentach, chociaż doskonale wiedzieli, że nikt, nie wyłączając ich samych, podpisów tych nigdy nie odczyta i najwymyślniejsze nawet zakrętasz pójda na marne. Ale ponieważ od niepamiętnych czasów podpisywanie się sprawiało ludziom ogromną przyjemność, nie zważali na to, że biały atrament jest niewidoczny na białym papierze. Tak, tak, moi drodzy, ci, co się podpisywali, nie przejmowali się zupełnie tym przykrym stanem rzeczy. I nie wiadomo, jak długo trwałby on jeszcze, gdyby nie pan Ambroży Kleks.

Sławny ten mędrzec, dziwak i podróżnik, uczeń wielkiego doktora Paj-Chi-Wo, założyciel słynnej

Akademii, wylądował pewnego dnia całkiem przypadkowo w jednym z portów Półwyspu Bajkańskiego.

Po długich wędrówkach dotarł pan Kleks do Bajdocji, rozległego i bogatego kraju, leżącego na zachodnim wybrzeżu półwyspu. Łagodny charakter i gościnność Bajdotów, ich zamiłowanie do bajek, dzielność mężczyzn i uroda bajdockich dziewcząt zachęciły pana Kleksa do bliższego zapoznania się z językiem, życiem i obyczajami tego ludu.



Zamieszkał więc w stolicy państwa, Klechdawie, położonej u podnóża góry zwanej Bajkaczem. Większość mieszkańców Klechdawy zajmowała się hodowlą kwiatów, toteż miasto tonęło w zieleni i wyglądało jak czarodziejski ogród. Parki, ciepłarnie i klomby usiane były kwiatami nieznanymi i niespotykanymi odmian.

Powietrze w Klechdawie, przesycone aromatem róż, lewkonii, jaśminów i rezedy, odurzało mieszkańców i tym zapewne tłumaczyć można ich niezwykle zamiłowanie do układania bajek. W alejach i parkach bajkopisarze odziani w barwne stroje i uwienieni kwiatami opowiadali bajki tak niezwykle, że nikt ze słuchaczy nie umiałby żadnej z nich powtórzyć.

Bajdoci mówili językiem bardzo podobnym do innych języków, z tą tylko różnicą, że nie znali i nie używali samogłoski „u”. Tak, tak, moi drodzy, litera „u” nie była im zupełnie znana. Dlatego też „mur” po bajdocku posiadał brzmienie „mr”, „ucho” po bajdocku było „cho”, „mucha” – „mcha”, „kura” – „kra” itd. Pan Kleks bardzo szybko podchwycił tę

szczególną cechę języka Bajdotów i już po kilku dniach władał nim doskonale.

Klechdawianie mieszkali w małych jednopiętrowych domkach, obrośniętych dookoła zielenią i kwiatami. Ich barwy i zapachy zwabiały niezliczone ilości motyli, które czyniły otaczający świat jeszcze barwniejszym. Śpiewy ptaków rozbrzmiewały tam od wczesnego świtu do późnego zmierzchu przez cały niemal rok, bowiem jesień i zima w Bajdocji trwały bardzo krótko. Zaledwie jeden miesiąc, pięć dni i dwie godziny.

Raz na dwadzieścia lat odbywał się zjazd wszystkich bajkopisarzy bajdockich, którzy wybierali spośród siebie Wielkiego Bajarza. Był nim, jak się łatwo domyślić, autor najpiękniejszej bajki. Przybyli na zjazd rozbijali namioty w Dolinie Tulipanów, które pachną najsobtelniej i odurzają mniej niż inne kwiaty. Wstępowali oni kolejno na wieżę wzniesioną w sercu doliny i wygłaszali po jednej ze swych bajek. Musieli mówić bardzo donośnie, tak aby wszyscy zebrani mogli ich słyszeć, toteż przez cały czas, dla wzmocnienia strun głosowych,



odżywiali się tylko miodem i sokiem morwowym. Wszyscy słuchali współzawodników z niesłabnącą uwagą, gdyż dla Bajdotów nie istniało nic piękniejszego i ciekawszego niż bajki.

Tak, tak, moi drodzy, bajki były dla nich czymś najważniejszym. Ponieważ Bajdocja miała bardzo, bardzo wielu bajkopisarzy, więc wygłaszanie bajek trwało od rana do wieczora przez dwa, a czasem nawet przez trzy miesiące. Ale zjazd taki odbywał się raz na dwadzieścia lat, słuchacze byli więc niezwykle cierpliwi, nikt nie zakłócał spokoju, a nawet rzadko kto kichnął, chyba że już w żaden sposób nie mógł się od tego powstrzymać.

Każdy z obecnych dostawał malutką gałkę z kości słoniowej, którą wręczał autorowi najpiękniejszej, jego zdaniem, bajki. Kto zebrał najwięcej gałek z kości słoniowej, zostawał Wielkim Bajarzem. Wręczano mu ogromne złote pióro, będące oznaką najwyższej władzy w Bajdocji, i wprowadzano go uroczyście przy dźwiękach muzyki do marmurowego pałacu wznoszącego się na szczycie Bajkacza. Tam Wielki Bajarz zasiadał na misternie rzeźbionym fotelu

z wonnego sandałowego drzewa i od tej chwili stawał się głową państwa bajdockiego na przeciąg dwudziestu lat i sprawował rządy przy pomocy siedmiu innych znakomitych bajkopisarzy, zwanych Bajdałami, czyli doradcami.

Cały naród czcił Wielkiego Bajarza i okazywał mu bezwzględne posłuszeństwo.

Najznakomitsi ogrodnicy przysyłali mu rzadkie odmiany kwiatów i najwonnejszy miód ze swoich pasiek. Na pałacowych trawnikach młode tancerki bajdockie, naśladowując motyle, odgrywały barwne pantomimy; najlepsi muzycy, ukryci w cieniu drzew, na swoich instrumentach o jednej srebrnej strunie, zwanych bajdolinami, naśladowali szum wiatru, szmer strumienia, trzepot ptaków, szelest liści i brzęczenie pszczół. Każdy starał się w miarę swych sił uprzyjemnić, upiększyć i ubarwić życie Wielkiego Bajarza, aby pobudzić jego natchnienie.

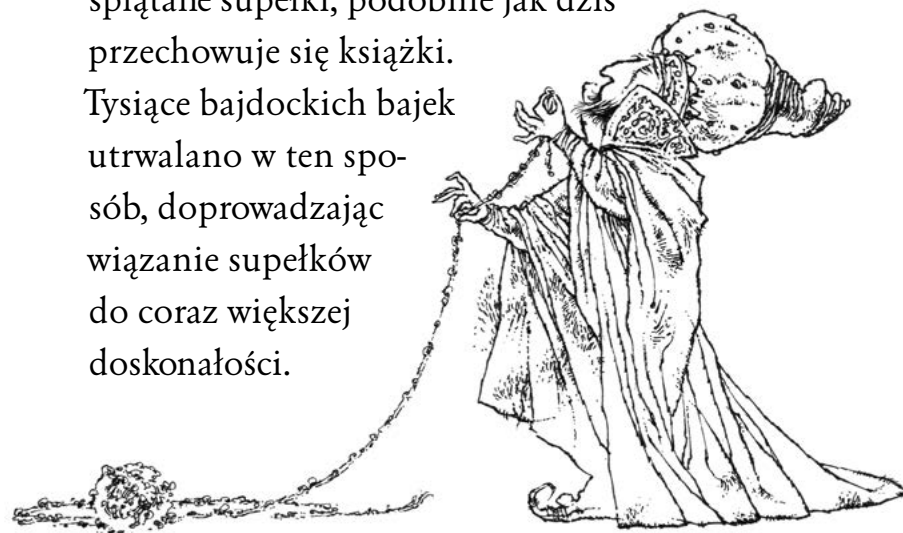
Ale bajki, to największe bogactwo ludu bajdockiego, ginęły nieutrwalone, nieprzekazane nie tylko innym narodom, ale nawet potomnym we własnym kraju. Nikt bowiem nie mógł ogarnąć pamięcią

wciąż nowych bajek, a nie znano sposobu utrwalania ich na papierze, gdyż atrament był biały. Tak, tak, moi drodzy, w tych czasach przecież nie znano jeszcze czarnego atramentu.

Jeden z uczonych bajdockich po wielu latach pracy obmyślił sposób wiązania supełków, które odpowiadały poszczególnym literom i wyrazom.

Bajkopisarze jęli tedy za pomocą tego niezmiernie skomplikowanego systemu przenosić swe utwory na zwoje sznurków, a odpowiednio wyszkolone dziewczęta, przepuszczając supełki przez palce, umiały je odczytywać. Powstały niebawem liczne biblioteki, gdzie na półkach przechowywano kłębki sznurków powiązanych w różnorodne, misternie splątane supełki, podobnie jak dziś przechowuje się książki.

Tysiące bajdockich bajek utrwalano w ten sposób, doprowadzając wiązanie supełków do coraz większej doskonałości.



Stało się jednak nieszczęście, którego nawet naj-  
mądrzejsi ludzie w Bajdocji nie mogli przewidzieć.  
Oto pewnego dnia, u schyłku lata, pojawił się na-  
głe owad wielokrotnie mniejszy od komara, zwany  
supelkowcem, który żywił się tylko i wyłącznie su-  
pelkami. Rozmnażał się on z nadzwyczajną szybko-  
ścią. Już po kilku godzinach chmary drobniutkich,  
prawie niewidzialnych szkodników przeniknęły  
do wszystkich bibliotek i zanim zdołano przedsię-  
wziąć jakiegokolwiek środka zaradcze, pożarły wszyst-  
kie supelki, skarb bajdockiego bajkopisarstwa.

Gdy przerażony Wielki Bajarz przybył wraz  
z Bajdałami do biblioteki narodowej w Klechdawie,  
zastał tam jedynie zwały pyłu i stosy drobniutkich  
muszek napęczniałych z przejedzenia.

Wielki Bajarz zasiadł w swoim fotelu, zamyślił  
się głęboko i przez cały tydzień nie zajmował się  
sprawami państwa, a Bajdałowie na próżno usiło-  
wali przypomnieć sobie bajki swego władcy, pożar-  
te przez supelkowce. Potem zawarły się wszystkie  
okna marmurowego pałacu i przez długie miesiące  
trwała żałoba narodowa.

Skoro jednak Bajdoci otrząsnęli się ze swej strasz-  
liwej zgryzoty i wrócili do codziennych zajęć, ucze-  
ni zaczęli szukać innego sposobu utrwalania dzieł  
bajkopisarzy.

Ale nowe próby również zawiodły. Nikt nie po-  
trafił wynaleźć sposobu nadania bajkom żywota  
trwalszego aniżeli żywot motyli unoszących się  
nad kwietnikami Klechdawy.

Działo się to za panowania Wielkiego Bajarza,  
który nazywał się Apolinary Mrk, co po polsku  
należy czytać Apolinary Mruk. Zyskał on sławę  
największego w dziejach Bajdocji baj-  
kopisarza i lud czcił go bardziej niż  
wszystkich jego poprzedników.

Był to tłuściutki jegomość  
w wieku lat około pięćdzie-  
sięciu, na krótkich nóż-  
kach, które nie sięgały do  
ziemi, gdy siadał na swo-  
im urzędowym fo-  
telu z drzewa  
sandałowego.





Odznaczał się niezwykle pogodą i dobrotliwością. Twarz miał okrągłą, bez zarostu, głowę łysą okoloną wianuszkami siwiejących włosów, małe, śmiejące się oczki i nos przypominający czerwoną rzodkiewkę, która pozostała na talerzu tylko dlatego, że była ostatnia.

Raz w tygodniu Wielki Bajarz ukazywał się na balkonie marmurowego pałacu i opowiadał tłumom zgromadzonym w ogrodach swoją najnowszą bajkę. Ale bajki te były zbyt czarodziejskie, aby ktokolwiek zdołał je zapamiętać. Tak, tak, moi drodzy, były to bardzo dziwne i niezwykle bajki. Toteż ludność Bajdocji nie mogła pogodzić się z faktem, że giną one natychmiast po ich opowiedzeniu, niedostępne dla mieszkańców innych miast i krajów.

Wtedy to właśnie w marmurowym pałacu na górze Bajkacz zjawił się pewnego dnia nieznany cudzoziemiec i oświadczył, że pragnie mówić z Wielkim Bajarzem.

Gdy wprowadzono go do sali, gdzie na fotelu z drzewa sandałowego zasiadł Wielki Bajarz Apolinary Mruk, dyndając w powietrzu krótkimi

nózkami, przybyły skłonił się przed majestatem talentu i rzekł:

– Dużo podróżowałem, dużo widziałem, a wiem jeszcze więcej. Słyszałem nieraz bajki Waszej Bajkopisarskiej Mości i na równi z ludem bajdockim ubolewam, że nie ma sposobu ich utrwalenia, aby natchniona twórczość Waszej Bajkopisarskiej Mości stała się dostępną mieszkańcom całego świata. Jeśli jednak wolno mi ofiarować swoje usługi i Wasza Bajkopisarska Mość zechce z nich skorzystać, podejmę się przed upływem roku dostarczyć barwnika, który atrament uczyni czarnym.

Wielki Bajarz otworzył szeroko oczy i usta, a nieznajomy ciągnął dalej:

– Znane mi są drogi prowadzące do złóż bezcennych składników czarnej i białej barwy i najdalej za rok mogę wrócić do Bajdocji obładowany nimi w ilości, która całkowicie zaspokoi potrzeby wszystkich bajkopisarzy tego kraju.

Wielki Bajarz z nadmiaru wzruszenia poczerwieniał, a potem zbladł. Wreszcie opanował się i zapytał:

– Czego żądasz w zamian, znakomity cudzoziemcze?

Ale cudzoziemiec uśmiechnął się pobłażliwie i rzekł z właściwą mu godnością:

– Wartościowe nagrody daje się robigroszom i obieżyświatom. My, uczeni, pragniemy tylko dobra ludzkości. Niechaj mi Wasza Bajkopisarska Mość odda do dyspozycji jeden ze swoich okrętów, doświadczony kapitan i trzydzieści osób załogi. To wszystko. Resztę proszę pozostawić mojej przemyślności, wiedzy i doświadczeniu. Ufam, że zdołam dotrzymać obietnicy.

Wielki Bajarz raz jeszcze poczerwieniał i zbladł ze wzruszenia, zsunął się ze swego rzeźbionego fotela, objął nieznanego i zawołał w uniesieniu:

– Czarny atrament!... Prawdziwy czarny atrament!... Szlachetny cudzoziemcze, powiedz mi, jak się nazywasz, abym mógł



opowiedzieć o tobie memu ludowi.

Nieznamy obciągnął surdut, przycesał czuprynę wszystkimi pięcioma palcami, z lekka odchrząknął i rzekł:

– Od tego powinienem być zacząć. Jestem Ambroży Kleks, doktor filozofii, chemii i medycyny, uczeń i asystent słynnego doktora Paj-Chi-Wo, profesor matematyki i astronomii na uniwersytecie w Salamance.

Po tych słowach wyprostował się i stał z dumnie podniesioną głową, lewą dłonią głaszcząc brodę.

– Dziś jeszcze wydam wszystkie niezbędne polecenia i rozkazy, a jutro osobiście dopilnuję w porcie ich wykonania – rzekł Wielki Bajarz ze łzami w oczach.

Nazajutrz, o pierwszej po południu z klechdawskiego portu odbił nowiutki, świetnie wyposażony trójmasztowiec „Apolinary Mrk”.

W porcie stał Wielki Bajarz i trzykrotnym salutem z piętnastu moździerzy zęgnął pana Kleksa, wyruszającego w osobliwą i pełną przygód podróż.

Tak, tak, moi drodzy, widzicie – ta czarna, już ledwie dostrzegalna w oddali postać na szczycie koronnego masztu to pan Ambroży Kleks.

Życzymy znakomitemu podróżnikowi pomyślnej wiei i spokojnego morza.

## *Cisza morska*

Wiatr południowo-wschodni wydymał żagle i okręt, ślizgając się po falach, mknął ku nieznanym lądom, których z bocianiego gniazda wypatrywał pan Kleks.

Miał na nosie okulary własnego wynalazku. Zamiast zwykłych cienkich szkieł tkwiły w nich szklane jaja, pokryte dookoła mnóstwem wklęsłych kuleczek. W środku każdego ze szklanych jaj, podobnie jak w plastrze miodu, pełno było misternie szlifowanych sześcianów i stożków. Dzięki tym okularom pan Kleks widział o wiele, wiele dalej niż przez najdłuższą lunetę.

Wymachując energicznie rękami, pan Kleks wskazywał kierunek i co chwila wykrzykiwał nazwy